

Rola Kościoła w kształtowaniu dojrzałego sumienia

Jakie sumienie — i jak — Kościół kształtował od początku swego istnienia do dziś? Spróbuję odwołać się do świadomości współczesnego Kościoła¹ w przekonaniu, że zawarty jest w niej sens podstawowej i niezmiennej jego misji, który to sens na kolejnych etapach długich dziejów Kościoła nie tylko jest konfrontowany ze zmieniającymi się warunkami ludzkiego życia, ale też przez te konfrontacje — sam doznaje oczyszczenia i pogłębienia.

Nie będę wstępnie precyzował, co rozumiem przez sumienie dojrzałe. Sądzę bowiem, że należy raczej dociekać, co rozumie przez nie Chrystus, a z Nim Jego Kościół, niż definiować dojrzałość sumienia niezależnie od Jego nauki i potem zastanawiać się, czy i na ile zgadza się ona z innymi naukami. Tym niemniej w moim przekonaniu Ewangelia Jezusa Chrystusa i myśl Kościoła nie przeczą podstawowym intuicjom moralnym na różnym stopniu ich teoretycznej refleksji, raczej potwierdzają i pogłębiają je. Poniekąd właśnie dlatego ośmielałem się podjąć taką teologiczną perspektywę mając za sobą jedynie tę wiedzę, jaką dają seminaryjne studia i życie w Kościele, ponieważ myślę, że filozoficzne analizy w tej materii, w których czuję się bardziej kompetentny, wręcz domagają się potwierdzenia i pogłębienia w świetle wiary.

Uwagi poniższe będą miały charakter bardziej postulatywny niż opisowy, to znaczy będę raczej usiłował pokazać, jak Kościół widzi swą rolę w kształtowaniu dojrzałego sumienia, a nie jak ją przez swych członków i reprezentantów faktycznie realizuje. Może to wyglądać na próbę ominięcia najbardziej drażliwych kontrowersji, jednakże nie sądzę, by sensowne były roztrząsania tych kontrowersji bez zarysowania takiego „idealnego planu”.

Kościół jako Matka

„Matka i Mistrzynie wszystkich narodów, Kościół Katolicki po to został ustanowiony przez Jezusa Chrystusa, by wszyscy, którzy w ciągu wieków znajdą się na jego łonie i staną się jego członkami, osiągnęli pełnię doskonałego życia i zbawienia. Temu właśnie Kościołowi, «filarowi i podwalinie prawdy» (1 Tm 3, 15), powierzył Naj-

świętszy jego Założyciel dwojakie zadania: by Mu rodził dzieci oraz by je nauczał i rządził nimi, otaczając macierzyńską troską życie jednostek i narodów”². Tytuł encykliki Jana XXIII *Mater et Magistra* i rozwijające go cytowane pierwsze jej zdania stanowią fundament, na którym jej autor oparł rozważania o współczesnych przemianach społecznych w świetle nauki chrześcijańskiej. Fundament ten jednak i dla nas jest nader dogodny, ponieważ zawiera w sobie podstawową misję Kościoła względem wszystkich ludzi i wszystkich ich problemów. Prawda, że Sobór Watykański II odwołuje się i do innych typicznych obrazów dla wyrażenia wewnętrznej natury Kościoła, a swe dogmatyczne rozważania oparł przede wszystkim na określeniu Kościoła jako Ludu Bożego. Jednakże my musimy szukać takiej definicji Kościoła, która — nie pretendując do wyłączności — ukazuje tę jego pozycję, która pozwala sensownie mówić o formowaniu przezeń sumienia jego członków. Do tej roli określenie Jana XXIII wydaje się szczególnie stosowne.

Kościół jest więc najpierw Matką, która rodzi i wychowuje dzieci. I tak, jak każda dobra matka uważa swe dziecko za bezcenny skarb, na którym koncentrują się jej troski i nadzieje i któremu chciałaby nieba przychylić, tak też Kościół „nie może odstąpić człowieka”. „Starać się patrzeć na człowieka «oczami samego Chrystusa», uświadamia sobie wciąż na nowo, iż jest stróżem wielkiego skarbu, którego nie wolno mu rozproszyć, który wciąż musi pomnażać”. Wedle najbardziej bodaj znanych słów cytowanej encykliki Jana Pawła II „człowiek jest „pierwszą i podstawową drogą Kościoła” (*Redemptor hominis*) i słowa te rzeczywiście obrazowo i przejmująco mówią o tym, kim jest każdy człowiek dla Kościoła jako Matki.

Mater-Ecclesia nade wszystko chroni swe dzieci przed niebezpieczeństwami zagrażającymi ich życiu, zdrowiu i szczęściu, taka ochrona bowiem jest naturalną kontynuacją jej zaszczytnej miana i roli Rodzicielki. Wiele można by podać przykładów pokazujących dbałość Kościoła o życie i zdrowie doczesne ludzi, tym niemniej Kościół jest świadom, iż „po to został ustanowiony przez Jezusa Chrystusa, by wszyscy (...) osiągnęli pełnię doskonałego życia i zbawienia”. Wie zarazem, że jego dzieci, to wolne ludzkie osoby, których życie i szczęście wieczne musi być efektem ich własnego, osobistego wyboru i wysiłku, nie przestając być oczywiście przede wszystkim darem miłosiernego Boga Ojca. Ten wybór, który kształtuje wnętrze człowieka i decyduje o jego zbawieniu, dokonuje się właśnie w sumieniu będącym „najtajniejszym ośrodkiem i sanktuarium człowieka, gdzie przebywa on sam z Bogiem, którego głos w jego wnętrzu rozbrzmiewa” (*Gaudium et spes* 16). Soborowe ujęcie, nieco obrazowe, harmonizuje z utrwaloną w myśli chrześcijańskiej i zgodną z potoczną intuicją formułą, wedle której rozumie się przez nie moralną samoświadomość

człowieka, która wyraża się w osądach poszczególnych czynów podmiotu i wynikających z nich nakazach odpowiedniego działania. Kategoryczność tych osądów i nakazów usprawiedliwiona jest rangą wchodzących w grę wartości, domagających się od podmiotu określonego działania. Zarazem jednak wolna odpowiedź człowieka na tak zadaną mu wartość wyznacza niejako jego najgłębszy osobowy profil.

Ów podmiotowy skutek postępowania zgodnego z sumieniem jest niemożliwy do osiągnięcia przy użyciu przemocy lub jakichkolwiek nacisków istotnie ograniczających wolność podmiotu. Przemoc bądź przymus może co najwyżej uczynić poprawnym jego zewnętrzne zachowanie się, nie jest jednak w stanie odmienić serca. Można ukazać człowiekowi obiektywnie właściwy cel jego życia i trafną drogę doń prowadzącą; próba jednak przymuszania człowieka do pójścia nią musi się okazać przedsięwzięciem chybionym, bowiem Królestwo Boże nie polega na osiągnięciu określonych dóbr zewnętrznych, lecz na przemianie wewnętrznej, na osobistym poznaniu pociągającej swą wartością prawdy i uznania jej swym życiem. Zrozumiałe więc, że *Mater-Ecclesia* chce uchronić ludzi przed gwałtem i wszelkim innym naruszeniem swobody poznania prawdy i kształtowania życia zgodnie z nią, zwłaszcza w dziedzinie religijnej, dotyczącej wprost i najgłębiej ostatecznego losu człowieka. „Prawdy zaś trzeba szukać w sposób zgodny z godnością osoby ludzkiej i z jej naturą społeczną, to znaczy przez swobodne badanie przy pomocy magisterium, czyli nauczania, przez wymianę myśli i dialog, przez co jedni drugim wykładają prawdę, jaką znaleźli albo sądzą, że znaleźli, aby nawzajem pomóc sobie w szukaniu prawdy (...) Nie wolno więc go (człowieka) zmuszać, aby postępował wbrew swemu sumieniu. Ale nie wolno mu też przeszkadzać w postępowaniu zgodnie z własnym sumieniem, zwłaszcza w dziedzinie religijnej” (*Deklaracja o wolności religijnej* 3). *Ecclesia* jest najpierw *Mater*, potem dopiero *Magistrą*. Zanim podejmie swą nauczycielską misję, broni praw człowieka: prawa do poznania prawdy, prawa do społecznego jej szukania, wreszcie prawa do wolnego — indywidualnego i społecznego — wyrażania swych poglądów i postaw.

Owszem, niekiedy przymus może się okazać konieczny. Dotyczy on wówczas bądź to organizacji życia społecznego (w szczególności dyktowany jest koniecznością zabezpieczenia jego członków przed osobnikami niebezpiecznymi), bądź to wychowania dzieci, które dojrzałości jeszcze nie osiągnęły. Stosowanie jednak przymusu tam, gdzie może człowiek o swym losie decydować sam w swym sumieniu, zamiast prowadzić do pełni rozwoju, utrwała jego niedojrzałość.

Skoro sumienie ma — jak wspomniano — strukturę dwustopniową, „składa się” nań niejako osąd i nakaz z tego osądu wynikający, wobec tego naruszenie wolności sumienia dokonane być może albo wprost, przez utrudnienie bądź uniemożliwienie działania zgodnego

z tym osądem, albo pośrednio, przez ograniczenie dostępu do prawdy. Wszak wybór — o ile jest godnym osoby wyborem rozumnym, nie zaś wyrazem dowolnego „widzi-mi-się” — musi opierać się na prawdzie; tę „logikę wyboru” właśnie natura sumienia dobitnie ukazuje. Odcięcie więc człowieka od prawdy lub istotne ograniczenie dostępu do niej, zniekształca podstawę wyborów i sprawia, że nawet jeśli subiektywnie czuje się wolny, wybiera według zamysłu tego, kto kosztem prawdy zawęził jego pole wyborów. Manipulując w ten sposób prawdą manipuluje się człowiekiem, który przestaje być podmiotem, a więc rzeczywistym autorem swych czynów, a staje się „przedmiotem”, posłusznym narzędziem realizacji nieznanych sobie celów. W imię więc rzeczywistej wolności sumienia Kościół broni jego prawa do prawdy i pragnie — na wzór swego Mistrza Jezusa Chrystusa — samym sposobem odnoszenia się do człowieka podkreślać i potwierdzać jego suwerenną podmiotowość.

Dokumenty soborowe i inne współczesne wypowiedzi Kościoła w sprawie wolności sumienia i wyznania nie pozostawiają wątpliwości co do jego pragnienia ochrony tej wolności. Czy jednak do tej proklamacji godności i wolności osoby nie został Kościół dziś zmuszony inną, niż przed wiekami swą pozycją w świecie religijnym i politycznym? Czy wzrost ateizmu, w tym także walczącego antyteizmu, utrata przez Kościół *brachium saeculare* wspierającego skutecznie jego naukę i interesy, rozbitcie jedności chrześcijaństwa i rozwój pozakatolickich wyznań nie uczyniły koniecznym — by tak rzec — przejścia Kościoła na pozycje obronne? Jak bowiem w świetle cytowanych fragmentów *Deklaracji o wolności religijnej*, encykliki *Redemptor hominis* i innych wytłumaczyć przesławną inkwizycję karzącą śmiercią tych, których uznała za heretyków (zmuszając ich jeszcze przed śmiercią — o ironio! — do pojednania się z Bogiem w sakramencie pokuty)? Cóż powiedzieć o idei wojen krzyżowych i krzyżackich zakonach tępiących pogaństwo ogniem i mieczem; o zaangażowaniu Kościoła w krwawą wojnę religijną niszczącą zachodnią Europę w XVI wieku? Czemu zresztą sięgać tak daleko; wystarczy przejrzeć niektóre katolickie czasopisma w Polsce przed 1939 rokiem, by przekonać się, jak wielki krok uczynił Kościół w tej dziedzinie na przestrzeni ostatniego półwiecza. Jak można w świetle tych faktów, których długie dzieje Kościoła notują stanowczo zbyt wiele, mówić iż Kościół jest Matką chroniącą elementarnego warunku samospełnienia każdej osoby ludzkiej w jej najgłębszym wymiarze religijnym, jakim jest wolność sumienia i wyznania?

Trudna to kwestia, domagająca się szczegółowych dociekań historycznych, uwzględniających między innymi dawną mentalność, sposób rozumienia związku spraw doczesnych i wiecznych, świadomość tego, co o godności człowieka decyduje itp. Podjęcie tych rozważań prze-

kracza ramy tego referatu i kompetencje jego autora. A jednak sędzę, że mimo przytoczonych smutnych faktów interpretowania obecnej nauki Kościoła w kategoriach politycznej taktyki byłoby krzywdzącym uproszczeniem. Pokusa stosowania przemocy w szlachetnej intencji dała o sobie znać już wówczas, gdy synowie Zebedeusza prosili Jezusa o ukaranie ogniem z nieba niegościnnego samarytańskiego miasteczka (por. Łk 9, 54—55), a także wówczas, gdy Piotr wyjął w obronie Jezusa miecz (por. J 18, 10—11). Pokusa ta, w połączeniu z grzechami pożądliwości, głupoty i nienawiści, od których nie są wolni synowie Kościoła będący wszak również synami Adama, prowadziła ich wiele razy do łamania drugiego przykazania Dekalogu i posługiwania się Bożą zasłoną dla zakrycia obcych Bogu interesów i porachunków. Od tej pokusy i my dziś wolni nie jesteśmy, by wspomnieć tylko to, co dzieje się w Libanie i w Irlandii Północnej. A jednak, tak jak Chrystus sprzeciwił się Janowi i Jakubowi i powstrzymał Piotra, tak Kościół od początku usiłuje być posłuszny trudnemu zaleceniu swego Mistrza, by schować miecz do pochwy, a wprowadzać pokój. Temu usiłowaniu dał wyraz już na pierwszym Soborze Jerozolimskim i w Listach Apostolskich nakłaniających do wyboru drogi pokoju i miłości w sposób, który do dziś gorszy co bardziej popędliwe umysły i serca. Także i później: do Saracenów wybierały się nie tylko zastępy krzyżowców, ale i bezbronny św. Franciszek; z herezjami w XIII wieku walczone nie tylko siłą, ale i słowem i świadectwem św. Dominika oraz jego uczniów. A spowiedź przed spaleniem na stosie zdaje się być — przy całym zdumiewającym nas dziś pomieszaniu spraw ducha i ciała — wyrazem troski o zbawienie heretyka, którego dostąpić on może tylko pod warunkiem osobistego nawrócenia.

Tak więc mimo grzeszności wyznawców Chrystusa i spowodowanego nią zaciemnienia w ich świadomości Bożej prawdy, Kościół usiłował i nadal usiłuje być wiernym swej misji Matki rodzącej dzieci Chrystusowi i chroniącej je przed niebezpieczeństwami, które stają na przeszkodzie w ich rozwoju do pełni wiecznego życia. Mamy to szczęście, że dziś — zapewne w znacznej mierze wskutek bolesnych doświadczeń — tę swoją misję i drogi jej realizacji Kościół sobie i nam lepiej uświadamia.

Kościół jako Nauczyciel

Broniąc wolności — w tym zwłaszcza wolności sumienia — Kościół daje wyraz swej świadomości tego, kim człowiek jest i co o jego godności stanowi. Kościół o człowieku wie jednak znacznie więcej. Wie zwłaszcza, że „Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo, powołując go do istnienia z miłości, powołał go równocześnie

do miłości (...) Miłość jest zatem podstawowym i wrodzonym powołaniem każdej osoby ludzkiej” (adhortacja Jana Pawła II *Familiaris consortio*). Człowiek jest więc sobą, gdy kocha i to kocha tak, jak Bóg, który pełnię miłości objawił w swoim Synu. Gdy zaś nie kocha, jest niczym. Zachwycamy się często hymnem o miłości zapisanym w Pierwszym Liście do Koryntian; być może jednak, że tym zachwytem bronimy się przed radykalnością Pawłowych sformułowań, którym chcielibyśmy nadać poetyckie znaczenie: wzniosłe, ale nie dosłowne. Św. Paweł obnaża bezwartościowość pozbawionych miłości przymiotów, które uchodzą w świadomości pobożnych chrześcijan za nader cenne: potężnej wiary, przenikającej wszelkie tajemnice mądrości, hojności w rozdawaniu własnych dóbr oraz ofiary własnego życia. Cóż powiedzieć o innych, bardziej „pogańskich” wartościach, w których zwykliśmy upatrywać podstawy naszej wielkości: o tytułach i godnościach, inteligencji i urodzie, sławie i władzy? Co gotuje sobie człowiek ubiegający się kosztem miłości za tymi dobrami? Jak mogłaby *Ecclesia — Mater et Magistra* — obojętnie patrzeć na tragiczną niespodziankę, jaką sobie jej dzieci w ten sposób szykują?

Kościół przecież jeszcze jedno wie o człowieku: wie o jego grzechu. Wie, że już w raju, dopuszczając do siebie podejrzenie względem miłości Stwórcy złamał przymierze z Nim, przymierze miłości. Wprowadził do swego serca pożądliwość: logikę posiadania w miejsce właściwej dla miłości logiki bezinteresownego daru. Jak przypomnieć człowiekowi, kim jest i gdzie leży jego życie i szczęście? Jak spowodować, by chciał on i umiał kochać? Czy można kogoś do miłości zmusić? Czy miłość oparta na strachu lub motywowana spodziewaną nagrodą jest jeszcze miłością? Czy stosowanie takich środków nie narusza wolności osoby — niezbędnego warunku zdolności kochania?

Na te pełne troski pytania Kościół ma tylko jedną odpowiedź. Sam umiłowany jako Oblubienica przez Chrystusa-Oblubieńca i z Jego miłości czerpiąc całą mądrość i siłę własnej miłości, prowadzi swe dzieci do tego samego, jedyne i czyste jej źródła. Będąc „w Chrystusie niejako sakramentem, czyli znakiem i narzędziem wewnętrznego zjednoczenia z Bogiem i jedności całego rodzaju ludzkiego” (*Lumen gentium* 1), przywodzi swych członków: dzieci i uczniów zarazem, mocą różnych sakramentów odpowiadających ważnym stanom i momentom ludzkiego życia, do Jezusa Chrystusa.

Nauczycielem miłości może więc być tylko sama Miłość wcielona. Tylko Chrystus Pan zdolny jest przebić się przez powłokę egoizmu i nieczułości i poruszyć serce; sprawić, by człowiek dojrzał. Dojrzał miłość i przez to dojrzał do miłości. Tu właśnie rozgrywa się sprawa dojrzewania sumienia. Jeśli bowiem jest ono — jak wspomniano — zarazem osądem i nakazem, jeśli właściwe mu działanie na tym polega, iż nakłania swój podmiot do postępowania na miarę poznanej

prawdy, to dostrzeżenie podstawowej dla bycia osobą prawdy o miłości stanowić musi podstawowy etap dojrzewania sumienia. „W głębi sumienia — powiada Sobór — człowiek odkrywa prawo, którego sam sobie nie nakłada, lecz któremu winien być posłuszny i którego głos wzywający go zawsze tam, gdzie potrzeba, do miłowania i czynienia dobra a unikania zła, rozbrzmiewa w sercu nakazem: czynń to, tamtego unikaj” (*Gaudium et spes* 16).

Prowadząc ludzi do Jezusa Kościół wprowadza ich zarazem we własną najgłębszą rzeczywistość. Jest on wszak Mistycznym Ciałem Chrystusa i żyje nieustanną wymianą Bożej i ludzkiej miłości. W tym więc sensie — w łączności z Chrystusem — swą Głową — Kościół uczy człowieka miłości. Można nawet powiedzieć, że miłość jest jedynym przedmiotem, który Kościół chce człowiekowi wyłożyć, jedyną sztuką, w jakiej chce go uczynić sprawnym.

Dopełnieniem przez Kościół wyrażonej w liturgii eucharystycznej miłości wobec Boga i bliźniego jest praktyczna troska o biednych, chorych i wszystkich potrzebujących. W swej od wieków nieprzerwanie prowadzonej działalności charytatywnej Kościół bynajmniej nie zastępuje nie dość sprawne w tym względzie świeckie instytucje. Działalność ta należy do jego istotnego posłannictwa, bez niej bowiem wezwanie do miłości pozostałoby pustym hasłem.

Angażując się w sprawy światowego pokoju i sprawiedliwości społecznej, błogosławiąc zgromadzeniom zakonnym oddającym się różnym dziełom miłosierdzia, wiążąc członków parafii wzajemną pomocą i odpowiedzialnością — Kościół pokazuje, jak cenny dlań jest każdy człowiek, a zwłaszcza najmniejszy, jednoczy wyznawców Chrystusa w miłującą się rodzinę, której Ojcem jest sam Bóg i — właśnie — uczy kochać. Uczy nie tylko przez wpajanie ludziom społecznie pożytecznych mechanizmów zachowania, nie tylko przez budowanie i podtrzymywanie prawnobyczajowych systemów kontroli zachowania, nagradzających postawy prospołeczne i karzących przeciwnie. Uczy przede wszystkim uwrażliwiając sumienia: otwierając je na wielkość każdej ludzkiej osoby — i na jej biedy; pokazując niszczącą siłę zła, a zwłaszcza grzechu, i konieczność przebaczącego miłosierdzia; pociągając do ofiarnego zapomnienia o sobie — i odkrywając nieporównaną radość z miłości płynącą.

Kościół dąży do tego, by człowiek chciał kochać, by nie pojmował wymogów miłości jako czegoś, co ogranicza jego wolność, krępuje go i utrudnia tzw. samorealizację. To skrzywione widzenie relacji między miłością i wolnością, jakie odczuwa on tak często, bądź to poprzez przeżycia moralnej powinności, której niechętnie ulega, bądź też w świetle dotkliwych wyrzutów sumienia, korzeniami swymi sięga grzechu Adama, który uwierzył szatanowi, że stanie się „jako bogowie”, gdy przekroczy Boży zakaz. To zaufanie okazane ojcu wszel-

kiego kłamstwa oznaczało zerwanie przymierza ze Stwórcą. Miejsce hojnego w bezinteresownej dobroci Boga zajęło w świadomości człowieka zazdrosne o władzę bóstwo strzegące swej domeny przed zakusami ludzkiego konkurenta. I w tym krzywym zwierciadle teraz się człowiek odbijał; stawał się obrazem boga pożądlivosti, którego uznał za boga prawdziwego. Wolność, która przedtem spełnienie swoje odnajdywała w oddaniu się Temu, który jedyny godzien jest ludzkiego życia i miłości, teraz zamknęła się w pozornie wyzwalającym szatańskim *non serviam*.

Pozorne to wyzwolenie, ponieważ Bóg wskutek kłamstwa kusiciela nie przestał być Tym, kim naprawdę jest. Także własnego podobieństwa do Stwórcy nie był człowiek zdolny — na szczęście! — zmienić: nadal „będąc jedynym na ziemi stworzeniem, którego Bóg chciał dla niego samego, nie może odnaleźć się w pełni inaczej, jak tylko poprzez bezinteresowny dar z siebie samego” (*Gaudium et spes* 24). Tzw. wyzwolenie wolności z pęt miłości musi prowadzić — jak to najdobitniej pokazał Jean Paul Sartre — do negacji Boga, który samym swym istnieniem ogranicza tak pojętą ludzką wolność oraz do uznania z tych samych racji, że piekło, to drudzy (istnienia drugich bowiem nie da się po prostu zignorować). W końcu zaś owo „wyzwolenie wolności” uśmierca jej posiadacza, jako że wszelka koncepcja wolności i propozycja jej użycia wynika z koncepcji człowieka; jeśli ta ostatnia jest fałszywa, wówczas dostosowane do niej wykorzystanie wolności umacnia fałsz kosztem prawdy, czyli jakby utwierdza to, co nie istnieje kosztem tego, co istnieje. Grzech Adama był dosłownie grzechem śmiertelnym: przyniósł śmierć cielesną i otworzył przed człowiekiem perspektywę „życia w śmierci” bez końca. Dlatego potrzeba było objawienia na nowo, kim naprawdę jest Bóg, by człowiek mógł — dzięki Chrystusowi głębiej jeszcze, niż w raju — zafascynować się Nim i odnowić w sobie podobieństwo doń. Potrzeba było posłuszeństwa aż do śmierci, by złamać nieposłuszeństwo grzechu. Potrzeba było miłości silniejszej, niż śmierć, by śmierć została zwyciężona.

Wola ludzka z natury, a więc także po grzechu, nastawiona jest na dobro i jeśli pragnie czegoś, to pragnie jako dobra. Chrystus musiał jednak aż tyle uczynić, by człowiek znów był zdolny poznać dobro prawdziwe, by ujrział jego korzenie i mógł za Nim powiedzieć: „Nikt nie jest dobry, tylko sam Bóg” (Łk 18, 19). Dopiero, gdy człowiek wypowie to zdanie w pełni świadomie, gdy dostrzeże za wszelkim stworzeniem — a zwłaszcza za tym arcydziełem Stwórcy, jakim jest każda osoba — samego Boga godnego czci i posłuszeństwa, gdy będzie chciał Mu, w miłości służyć — dopiero wtedy sumienie jego będzie dojrzałe dojrzałością posłuszeństwa Bogu. Dojrzenie pełni dobra w Bogu sprawia bowiem, że człowiek — miłując Go i wszystko

w Nim — nie jest w stanie chcieć nic innego, jak tylko to, co chcieć powinien. W tym sensie rację miał św. Augustyn, gdy mówił *dilige et quod vis fac* („kochaj i rób, co chcesz”), ponieważ jeśli kochasz, to chcesz tylko tego, co miłości służy. Z tej też racji pewni jesteśmy, że gdy ujrzymy Boga twarzą w twarz takiego, jakim jest, to już od Niego nie odstępimy, choć pozostaniemy wolni. Więcej nawet: wtedy dopiero będziemy naprawdę wolni, gdyż żaden fałsz nie będzie zakrywał prawdziwego dobra i nie będzie naszej wolności zwodził. Póki jednak *visio beatifica* nie jest jeszcze naszym udziałem, Kościół usiłuje uleczyć człowieka z rany pożądliwości.

Pożądlliwość nie jest jednak jedynym dziedzictwem grzechu. Bywa — jakże często — że człowiek chce dobrze, nie wie jednak, który czyn stanowi rzeczywisty wyraz miłości, a który pozorny. Czy skrócenie beznadziejnych mąk łagodną trucizną jest wobec chorego aktem pomocy czy krzywdy? Czy realna szansa uratowania życia wielu niewinnych usprawiedliwia pozbawienie życia niewielu, także niewinnych? Ileż tego typu pytań, wielkich i małych, człowiek sobie stawia? A wszystkie one zakładają wszak, że chce dobrze. Nie tylko wola więc, ale i poznanie ludzkie jest skażone i ułomne. Wprawdzie dobra wola koryguje je i pogłębia, jednakże nie usuwa automatycznie i niezawodnie wszelkich jego błędów. Szczególnie zaś trudne, a nierzadkie są przypadki, w których niejasne poznanie zaciemnione bywa dodatkowo świadomością wysokiej ceny, jaką posłuszeństwo takiemu niepewnemu sumieniu za sobą pociąga. Kościół nie chce autorytatywnie zastępować człowieka w jego szukaniu **słusznych** wyrazów miłości. Niepowtarzalne w swej konkretności sytuacje pozwalają mu bowiem — poprzez wątpliwości i próby uczciwego ich przewycięzania — coraz lepiej rozumieć świat moralnych wartości, coraz dojrzsze podejmować decyzje. Zbyt bogatą tajemnicę kryje w sobie każda osoba, by można ją było bez reszty zgłębić i rozwiązać wszelkie moralne problemy, jakie nasuwa. Skoro dojrzewanie moralne polega w istocie na coraz głębszym widzeniu, kim Bóg i człowiek jest i na tym opartej coraz większej miłości, to proces ten nie może mieć końca na tej ziemi, gdzie Boga widzimy „jakby w zwierciadle, niejasno” (1 Kor 13, 12) i niejasność ta naznacza cieniem także poznanie ludzkich osób. Niekiedy postuluje się, by Kościół — w imię szacunku do wolności człowieka i jego prawa do permanentnego rozwoju — przestał na ochronie wolności sumienia oraz zachętach do dokonywania odpowiedzialnych wyborów, zrezygnował zaś z formułowania merytorycznych wskazówek postępowania.

A jednak, przy całym szacunku dla osobistego rozeznania moralnego każdego człowieka i przy świadomości, że pytania i niepewność towarzyszyć mu będą aż do śmierci, Kościół sprzeniewierzyłby się swej funkcji nauczycielskiej, gdyby nie ukazał mu prawdy o Bogu

i na Jego obraz uczynionym człowieku; prawdy, którą zna dzięki objawieniu Słowa Wcielonego i obecności Ducha Świętego, a której respektowanie stanowi niezbędny warunek rzeczywistej, nie zaś tylko deklarowanej, miłości. Jakżeż mógłby powoływać się na Chrystusa-Swiatło narodów i gorąco pragnąć „oświecić wszystkich ludzi blaskiem Jego jaśniejącym na obliczu Kościoła” (*Lumen gentium* 1), gdyby nie miał człowiekowi do przekazania żadnej innej prawdy, oprócz tej, którą zna on lub zdolny jest poznać i bez jego pomocy? Cóż znaczyłoby, że jest on — jak przypomina Jan XXIII za św. Pawłem — „filarem i podwaliną prawdy”?

Filar ten i podwalina potrzebne są człowiekowi, który przez grzech skłonny jest odstępować od prawdy zwłaszcza wtedy, gdy jest ona wymagająca; inną zaś być nie może, skoro chrześcijanie wezwani są przez Chrystusa do zaparcia się siebie, wzięcia swego krzyża i naśladowania Go (por. Mt 16, 24), przez co dopiero zdolni będą uczestniczyć w chwale zmartwychwstania swego Mistrza. Gdyby Kościół — ulegając presji słabości ludzkiej — odstąpił od Ewangelii Chrystusowej i jej wymagań i nadal obiecywał człowiekowi zbawienie, zwodziłby go podobnie, jak szatan. Kościół świadom jest, że jak jego Głowa i Założyciel był „znakiem, któremu sprzeciwiać się będą (Łk 2, 34), tak i jego nauczanie wywoływać musi protesty i krytykę (por. 2 Tm 4, 24). Kościół nie chce więc uciec od dylematów teoretycznych i praktycznych bolączek, z jakimi boryka się człowiek i głosi odważnie także te prawdy o nim, których wołałby on niekiedy nie słyszeć. Broni prawa nienarodzonych do życia — w imię godności każdej ludzkiej osoby; broni nierozzerwalności małżeństwa — w imię prawdy o miłości, której wzorem jest oblubieńcza miłość Chrystusa i Kościoła; przeciwstawia się rewolucyjnym metodom walki z niesprawiedliwością — w imię słowem i przykładem Pana głoszonej zasady zwyciężania zła dobrem. Jako dobry nauczyciel Kościół wie, że lepszą przysługę odda człowiekowi, gdy powie prawdę do końca, nawet jeśli mu odpowiedzą „trudna jest ta mowa, któż może jej słuchać” (J 6, 60), niż gdyby miał zacierać jej kontury z racji taktyczno-propagandowych. I choć dawne *anathema sit* brzmi dla naszych uszu dziś obco i niemile, przecież w imię uczciwości wobec człowieka trzeba powiedzieć, jakie poglądy i postawy odłączają go od drogi zbawienia pokazanej przez Jezusa Chrystusa i z Jego mandatu strzeżonej przez Kościół. Nawet jeśli grzeszna ułomność jego przedstawicieli powodowała nadużywanie tych smutnych orzeczeń, to jednak Kościół nie może zrezygnować z prawa i obowiązku określania, co jest, a co nie jest zgodne z nauką Chrystusa Pana. Wydawać się może, że czyniąc tak Kościół pomnaża konflikty sumienia i zakłóca jego spokój, jednakże właśnie troska o człowieka i przekonanie, że

tylko prawda nas wyzwoli (por. J 8, 32), każe mu głosić naukę w porę i nie w porę.

Tak więc dwojako Kościół przyczynia się do kształtowania dojrzałego sumienia w człowieku: jako Matka i jako Nauczyciel. Jako Matka chroni on go przed gwałtem naruszającym jego wolność wprost bądź pośrednio, gdy ogranicza się jego dostęp do prawdy. Inaczej bowiem, jak w sposób rozumny i wolny nie mógłby się człowiek jako osoba potwierdzić i rozwinąć. Jako Nauczyciel zaś nade wszystko pragnie Kościół nauczyć człowieka miłości prowadząc go w tym celu wielorako do swego Oblubieńca, Miłości wcielonej. Miłość ta bowiem stanowi o „być albo nie być” ludzkiej osoby. Ponieważ zaś jest ona sprawcą czynów, a nie słów tylko, Kościół wprowadza swych wyznawców w świat miłości wzorowany na rodzinie. W imię miłości też głosi Kościół pełną prawdę o człowieku w przekonaniu, że bez jej poznania i uznania dojrzałość jego będzie pozorna. Ponieważ zaś elementem istotnym tej prawdy jest grzeszność człowieka wymagająca nieustannej interwencji Chrystusa-Odkupiciela, prawdziwą dojrzałość sumienia widzi Kościół w nieustannym dojrzewaniu, w którym świadomość własnej słabości każe człowiekowi ciągle na nowo szukać Boga i Jego prawdy oraz przyporządkowywać jej swe życie.

Andrzej Szostek MIC

¹ Artykuł jest nieznacznym skrótem referatu wygłoszonego przez Autora w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w ramach „Tygodnia Eklezjologicznego” 18 października 1983 roku. ² Jan XXIII, encyklika *Mater et Magistra*, Wstęp. Cyt. za przekładem zamieszczonym w „Znaku” 332–334 (1982). Tam te znaleźć można cytowane encykliki Jana Pawła II *Redemptor hominis* i *Dives in misericordia* oraz Konstytucję soborową *Gaudium et spes*.